

PORADNIK JĘZYKOWY

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILIŃSKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JĘZYKA

WALKA O KULTURĘ JĘZYKA POLSKIEGO.

*Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy człowieka potęga...
Wynalazł mowę i myśli dał skrzydła,
I życie ujął w porządku prawidła.*

Sofokles.

Trafne to i głębokie spostrzeżenie. Język, istotnie, jest dźwignią życia umysłowego człowieka i koniecznym środkiem jego współżycia społecznego. Przez język budzi się i rozwija w człowieku siła, która go wyróżnia od zwierząt. Jest nią samoświadomość. Dzięki niej człowiek nie tylko myśli, ale także myśli o tem, że myśli.

Odtąd dopiero zaczyna się kultura umysłowa. Samoświadomość staje się jej podstawą i koniecznym warunkiem rozwoju...

Język jest pewną odmianą ludzkiego myślenia, więc w szerszym zakresie jego życia przejawiać się musi to samo prawo, które rządzi kulturą umysłową człowieka. Kultura językowa zaczyna się tam, gdzie się zaczyna samoświadomość językowa, gdy ludzie nie tylko mówią i nie tylko myślą o tem, c o mówią, lecz zastanawiają się także nad tem, j a k mówią, gdy zaczynają świadomie i celowo kontrolować nieświadome, oparte na zwyczaju, poczucie językowe. Wtedy dopiero zaczyna się ocena, świadome poszukiwanie i wybór, a w związku z tem wyrastają pojęcia poprawności i czystości językowej, rozwija się poczucie wartości emocjonalnych wysłowienia i poczucie stylu.

Czystość to najpierwszy, ale zarazem najprymitywniejszy składnik kultury językowej. Na wyższy poziom podnosi nas dbałość o poprawność, a najwyższym przejawem kultury językowej jest poczucie stylu i poszukiwanie właściwszej jego formy ¹⁾.

Kultura językowa pozostaje w ścisłym związku z kulturą literacką i losami języka literackiego.

W Polsce z pierwszemi jej przejawami spotykamy się w wieku XVI, w czasach utrwalania się polskiej twórczości literackiej i polskiego języka lite-

¹⁾ Ob. W. D o r o s z e w s k i e g o Poprawność języka a jego kultura i styl. „Por. Jęz.” 1933, str. 81 — 6.

rackiego. Pierwszym polskim głosem w sprawach kultury językowej był sławny dyskurs Łukasza Górnickiego w „Dworzanie”. W tej dziedzinie Górnicki pierwszy, wyrażając się słowami J. Kochanowskiego „wdarł się na skałę pięknej Kaljopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy”. On pierwszy w literaturze polskiej poruszył zagadnienie kultury językowej i „wdarł się” na najwyższe jej szczyty, wysuwając nietylko sprawę czystości i poprawności, ale także estetyczne, stylowe wartości wysłowienia.

To były pierwsze początki „walki o język polski”. Walka ta, rozpoczęta przed wiekami, toczy się do dzisiaj, i na szczęście nie widać jej końca. Jako nieunikniony i nieodłączny objaw życia, jest wieczna jak życie i tylko wraz z nim mogłaby wygasnąć. W biegu swoich dziejów ucichała, gdy zamierało życie; tem silniej wybuchała, im bujniejszym i bardziej żywotnym stawało się życie.

W dotychczasowej historii tej walki przeszliśmy już trzy epoki, a czwartą przeżywamy obecnie. W każdej z nich zmieniały się warunki, przyczyny i podłoże walki, zmieniały się także jej ideały i hasła.

W początkach szło o podstawy istnienia języka polskiego, jako narządu polskiej literatury narodowej, o zdobycie dla niego przynajmniej równych praw z łaciną.

W drugiej epoce, kiedy w końcu XVIII i na początku wieku XIX wraz z ożywieniem życia duchowego narodu zagadnienia kultury językowej stały się znów aktualne, hasłem czystości językowej była walka z nadmierną przewagą i wpływami francuszczyzny.

W epoce trzeciej, która przypadła na czasy obcych zaborów i obcego panowania, trzeba było się bronić przeciw rozkładowym wpływom języków zaborczych — niemieckiego i rosyjskiego.

Doba obecna wysuwa nowe, niemniej doniosłe zadania. Naród polski przeżywa obecnie głębokie przeobrażenia. Warunki naszego politycznego życia uległy zasadniczym przeobrażeniom, nasze stosunki gospodarcze przybierają zupełnie nowe kształty, przeistaczają się również stosunki społeczne. Wszystkie te zmiany nie mogły pozostać bez wpływu na język i w walce o kulturę języka wysunęły nowe zadania i hasła.

„Przetopiony w bryły obce”, żyjąc przez sto zgorą lat w trzech różnych organizmach państwowych, musiał naród polski siłą tego faktu, pomimo zawsze żywej wspólnej tradycji historycznej, ulegać obcym politycznym wpływom. W następstwie tych wpływów wytworzyły się pewne dzielnicowe różnice językowe, zwłaszcza w zakresie języka urzędowego. Język sądownictwa, administracji, kolejnictwa, poczty, wojskowości i w innych dziedzinach życia publicznego i państwowego zaczął ujawniać tu i ówdzie bardzo wyraźne różnice. Nie wszystkie te różnice były następstwem wpływów obcych. Wiele powstało stąd, że jedna dzielnicza zachowała ten czy inny ogólnopolski archaizm, a gdzieindziej wy-

szedł on z użycia. Ale nawet w takich wypadkach bezpośrednią przyczyną tego rodzaju objawów były rozbiory i brak żywej wymiany kulturalnej między dzielnicami.

Taki stan rzeczy obrażał dotkliwie właściwie pojmowaną kulturę językową i wysunął potrzebę zaradzenia w jakiś sposób temu groźnemu złemu.

Praca nad ujednostajnianiem języka urzędowego jest wielkim przedsięwzięciem, które wymaga długich zorganizowanych wysiłków. Wielkie znaczenie mają tutaj prace Komisji Kodyfikacyjnej, która od kilkunastu lat przygotowuje jednolity kodeks prawa karnego i cywilnego w rozmaitych jego odgałęzieniach. Nad poprawnością i czystością języka urzędowego pracuje także Komisja języka urzędowego przy Towarzystwie Krzewienia Poprawności i Kultury Języka w Warszawie. Te same cele ma również Komisja językowa Ministerstwa Komunikacji. Państwowy Urząd Statystyczny pracuje znowu nad ustaleniem nazw miejscowości zamieszkałych Rzeczypospolitej. Troska o język nie mogła pozostać na uboczu tak ważnej dziedziny życia państwowego, jak wojsko; to też praca nad polską terminologią wojskową, w oparciu o stare wzory, a jednocześnie z uwzględnieniem potrzeb współczesnej sztuki wojennej, została podjęta zaraz w początkach wskrzeszenia Państwa Polskiego, a rezultatem jej jest „Słownik taktyczny polsko-francusko-niemiecko-rosyjski” (1924). Jednocześnie z temi pracami rozwija się nadal ożywiona praca nad wytworzeniem rodzimego słownictwa w zakresie handlu, przemysłu, techniki i rzemiosła.

Praca nad ujednostajnieniem i rozpowszechnieniem ogólnopolskiej — gramatycznej i słownikowej — normy językowej, ma jednak do czynienia nie tylko z różnicami dzielnicowymi, narzuconymi przez wpływ obcego panowania, lecz także z odwiecznymi regionalnymi odmiankami języka kulturalnego i z wpływami dialektów ludowych. Konieczność liczenia się z temi wpływami jest bez wątpienia jednym z charakterystycznych znamion dzisiejszej „walki o polski język kulturalny”.

Polski język literacki, od wieków w podstawach swoich ustalony, przekształcał się w ciągu wieków stopniowo, bez nagłych i gwałtownych przeobrażeń. Nurtujące w nim, jak gdzieindziej, tendencje przekształcające były miarkowane żywą tradycją językową, panującą w tych warstwach społecznych, które przechowywały od wieków zwyczaj języka kulturalnego. Warstwami temi było szlacheckie ziemiaństwo i miejska inteligencja. Dopływ do tych warstw żywiołów ludowych był do niedawna, zwłaszcza w byłym zaborze rosyjskim, bardzo słaby, ale po odzyskaniu niepodległości dawne stosunki społeczne uległy radykalnej zmianie. Ruch, który się przed wojną rozpoczął w byłej Galicji, objął kraj cały. Popularyzacja średniego i wyższego wykształcenia ułatwiła szerokim masom ludności wiejskiej i miejskiej dostęp do zawodów inteligenckich. Napływ jest tak wielki i gwałtowny, że dawne warstwy inteligencji, które w ciągu wielu

„pokoleń przechowywały tradycję języka kulturalnego, dziś nie mogą tych nowych żywiołów w siebie wchłonąć i na swoją modłę przerobić.

To nie mogło pozostać bez wpływu na język. Na usypany od wieków łąd stały polskiego języka literackiego uderzyła z gwałtowną siłą nowa fala, która tu i ówdzie zalewa wytwory dawnej tradycji i wyrzuca na powierzchnię nowe zwyczaje. Powstaje żywiołowa walka między starym a rodzącym się światem. Żaden z nich jeszcze nie zwyciężył, pojednanie nie nastąpiło, panuje niepewność i zamieszanie, język przechodzi kryzys, a kryzys ten staje się nową troską „współczesnej walki o kulturę języka”.

Stanisław Szober.

SIENKIEWICZ I SPRAWA POLSKIEJ TERMINOLOGJI ZAWODOWEJ.

Artykuł Sienkiewicza „Czystość języka”, który wydobyłem niedawno z przeszło półwiekowego zapomnienia („Por. Językowy” nr. 7), wywołał widocznie silny oddźwięk w ówczesnej prasie warszawskiej, skoro autor czuł się zmuszony zabrać ponownie głos w poruszonej przez siebie sprawie. Uczynił to zaraz w dwa dni po wydrukowaniu swoich uwag o języku dziennikarskim. Dn. 3.XII.1879 ukazał się w „Gazecie Polskiej” (nr. 271) artykuł p. t. „W sprawie czystości języka”, opatrzony sygnaturą —§—, używaną podówczas stale przez Sienkiewicza zarówno w artykułach podpisanych, jak niepodpisanych. Rzecz tę, tak ze względu na osobę wielkiego pisarza, jak i na niewygasłą jeszcze aktualność wyrażonych tu zapatrywań, przedrukujemy w całości:

Jedno z pism w odpowiedzi na nasze uwagi o zbytecznym i szkodliwym wprowadzaniu przez dzienniki warszawskie mnóstwa wyrazów cudzoziemskich czyni nam zarzut, iż sami nie jesteśmy pod tym względem lepsi od innych, i na dowód przytacza wyrazy obce przez nas używane.

Chcielibyśmy uniknąć nieporozumień. Zamieszczając nasze uwagi, nie pragnęliśmy powiedzieć przez to, że wszyscy błędzą prócz nas, że zatem pismo nasze jest lepsze, poprawniejsze i t. p. Nie chodziło nam o porównywanie dzienników, a tembardziej o wywyższanie się, ale zgola o co innego, mianowicie o sam język, o jego czystość i poprawność, — zatem całą sprawę na tem tylko polu radzibyśmy roztrząsać.

Wiemy doskonale, że używamy narówni z innymi wyrazów obcych, i dlatego, nie wyłączając się, mówiliśmy w naszych uwagach ogólnie: my, nie zaś: wy. Tak jest! my, — my wszyscy dziennikarze zarówno grzeszymy przeciw czystości języka. Czyż to jednak powód, ażebyśmy pobłażając wspólnej wadzie mieli milczeć w sprawie tak ważnej?

Mówi nam pismo owo: „Nie widz w oku brata swego źdźbła, kiedy w swoim belki nie widzisz”. Doprawdy, gdybyśmy nawet nie widzieli, inni nie

omieszkają jej dojrzyć, my zaś ostrzeżeni, będziemy się starali z oka ją sobie wyciągnąć, — a gdy za naszym przykładem pójdą wszyscy, rozpocznie się właśnie ów zwrot ku lepszemu, którego pragniemy.

O nic więcej nam nie chodzi.

Mamy też nadzieję, że patrząc tak na sprawę, potrafimy się porozumieć i z tem pismem, które pierwsze o naszych uwagach wspomniało, i z każdym innym. My będziemy się starali pracować nad oczyszczeniem języka, starajcież się i wy. Powodu do sporów tu niema. Wszyscy razem wzięci jesteśmy dziennikarstwem piszącym w jednym języku i dla jednego społeczeństwa, sprawa zatem jest wspólną.

Zadanie, jakie leży przed nami, nie należy do łatwych, dlatego trzeba pracować nad niem połączonymi siłami. Rozumiemy to dobrze, że w pismach codziennych wydawanych z pośpiechem trudno uniknąć wyrazów obcych, zwłaszcza takich, które utarły się już jako nazwy ścisłe; rozumiemy jeszcze lepiej, że niektóre, jak np. bank, teatr, handel, idea i t. p., muszą pozostać, bo niema na ich miejsce swojskich. Uwagi poczynione nam co do wyrazu „renta” są słuszne, ale z drugiej strony setki wyrazów obcych dałyby się zastąpić. Przed niedawnym jeszcze czasem nauka lekarska nie miała odpowiednich nazw ścisłych, — dziś je posiada; toż samo uczyniono w innych gałęziach wiedzy, z czego pokazuje się, że nasz język jest giętki, obfity i że należy tylko umieć korzystać z zawartego w nim tworzywa. Dobrych chęci do działania brakło dotychczas dziennikarstwu, — i na to przede wszystkim pragnęliśmy nacisk położyć.

Nawet choćby cokolwiek opryskliwie i wprost do nas zwrócone uwagi przyjmujemy chętnie i wolimy je niż wymowne milczenie, chodzi nam bowiem nie o nas, nie o zalecanie się kosztem innych pism do kogokolwiek, ale o rzecz ważną, nad którą dotąd, mimo dorywczych odezw, z rzadką jednomyślnością przechodzimy do porządku dziennego.

Że ulepszenia zaczniemy od siebie, to się samo przez się rozumie.

Jeśli ten artykuł dostał się do rąk kolegi Sienkiewicza i szczerego wielbiciela jego stylu, ś. p. prof. Kryńskiego, możeby Sienkiewicz dostał lekką wymówkę za ów „porządek dzienny”, który podobno utworzono za przykładem niemieckiego „Tagesordnung”. Ale faktem jest, że zwrot ten parę razy jeszcze spotkałem w pismach Sienkiewicza, podobnie jak i naganione przez prof. Kryńskiego wyrażenia „zapoznany” (w artykule o Berwińskim, „Gaz. Pol.” nr. 270, dn. 2.XII.1879 i w „Quo Vadis”), „za wszelką cenę” („Ogniem i mieczem”) i jeszcze ze dwa inne. Co gorsza, spotkałem w listach Sienkiewicza takie wyrażenia jak „bad”, „kurort”, „banhof”, „dezawuować”... To wszystko prawda. Jakiś złośliwiec gotów sobie pomyśleć, że jednak pewną słusność miał ten, kto o belce w oku własnem wspominał w odpowiedzi na artykuł Sienkiewicza. Nie będzie to jednak słusność nazbyt wielka. Po pierwsze wyrażen tych niewiele się spotyka u Sienkiewicza, a i te przeważnie używane są w tonie humorystycznym. Po wtóre Sienkiewicz istotnie przyjmował bez urazy wszelką uwagę co do stylu czy języka — i niejednokrotnie w korekcie czy w przedruku poprawiał to, co mu jako usterkę wytknięto; oczywista rzecz, czynił to tylko wtedy, gdy kry-

tyk stawiał zarzuty słuszne i uzasadnione. Po trzecie wyrazy takie, jak „uzdrowisko”, „dworzec” (kolejowy) nie istniały jeszcze w latach 70-ych i 80-ych zeszłego wieku, jak nie istniało wiele innych jeszcze wyrazów technicznych (czy wyrazów „ścisłych”, jak je określa Sienkiewicz), dziś już będących w powszechnym użyciu. A mało kto wie, że właśnie inicjatywie Sienkiewicza zawdzięczamy wprowadzenie niejednego wyrazu swojskiego w dziedzinie, która od wieków po dziś dzień najbardziej jest zachwaszczona naleciałościami obcemi: w dziedzinie handlowej. Oto w dwa dni po ukazaniu się przytoczonego artykułu widzimy znów w „Gazecie Polskiej” (5.XII.1879, nr. 273) pod zwykłym znakiem —§— nowy artykuł Sienkiewicza, zatytułowany „W sprawie języka”. Rozpoczyna się on od powtórzonego za „Gazetą Handlową” ogłoszenia o stworzeniu „funduszu podstawowego” w kwocie 200 rubli na opracowanie słownika ekonomiczno-handlowego. Pochwalając ten pomysł i zamiar redakcji, Sienkiewicz pisze od siebie:

...W rozlicznych gałęziach ścisłych języka polskiego nie było żadnej tak skażonej obcemi wpływami, jak handlowa. Przyczyny tego stanu rzeczy są wiadome. Język polski handlowy nie mógł się wyrobić, bo handlem zajmowali się przeważnie obcy. Dziś jednak rzeczy się zmieniły. Handel przechodzi z wolna do rąk polskich albo pozostaje w rękach Izraelitów polskich, których oświecone warstwy mówią po polsku w domu, na giełdzie, słowem: które przyswoiły sobie nasz język, jako swój własny. Wszystkim więc na sercu leży potrzeba zaprowadzenia wyrazów swojskich handlowych, te bowiem, które istnieją, nietylko rażą uszy i uczucie, ale jako niezrozumiałe utrudniają stosunki. — Gdy się np. powie nie kupcowi, ale człowiekowi zwyczajnemu „trzeba iść żyrować weksel”, — człowiek taki nie ma najmniejszego pojęcia, co z wekslem zrobić. Takich trudności moglibyśmy tysiące przytoczyć. Słownik zapobiegnie im w znakomitej części, a przytem niewątpliwie oczyści i wzbogaci język. Spodziewamy się, że przykład redakcji „Gazety Handlowej” i wezwanie, jakie czyni do finansistów o pomoc w zebraniu sumy znacznie większej, nie pozostaną bez skutku — jesteśmy nawet pewni, że składki ich przewyższą o wiele wyznaczoną ilość rs. 600,— i że nadwyżka zapewni zarazem i nakład słownika...

Kto uważnie przeczyta powyższe uwagi, spostrzeże, że Sienkiewicz już na poczekaniu, od ręki, zastąpił jeden z obcych wyrazów handlowych przez swojski: zamiast pospolitego zresztą i utartego terminu „kwota” mamy tu rodzimą i zupełnie dobrze brzmiącą „ilość”. Za przykładem Sienkiewicza można by bez trudu wyraz ten wprowadzić i dzisiaj do słownika handlowego. Przypuszczam, że i Szanowni Kupcy nie będą mieli nic przeciwko tej „ilości” pieniędzy, byle tylko była jak największa!

Skoro już wpadł Sienkiewicz na myśl spolszczania polskiej terminologii, oddał się tej myśli z całym zapalem. Znów kilka dni minęło — i widzimy na łamach „Gazety Polskiej” (nr. 277, dn. 11.XII) następującą notatkę:

Przekład dzieła *Reklama (Nauka zachowania zdrowia...)* odznacza się nadzwyczaj poprawnym i pięknym polskim językiem. Wiele wyrazów obcych, wiele wyrazów ścisłych obcych zastąpiono swojskimi, bądź istniejącymi, bądź nowoutworzonymi. Obok wyrazów jeszcze nieurtartych podawane są w nawiasach, dla uniknięcia wątpliwości, nazwy łacińskie lub inne dotąd używane. Jest ta ostrożność chwalebna, chociaż obowiązująca tylko do czasu, nowe bowiem nazwy swojskie, o ile są tworzone, tworzone są doskonale i wkrótce zapewne się utrą i staną się powszechnie zrozumiałymi. Wogóle w nauce lekarskiej, a raczej w oczyszczaniu języka lekarskiego zrobiono w ostatnich czasach znakomity postęp. Dowodzi to, że postęp ten byłby możliwy we wszystkich gałęziach naukowych, byle znaleźli się ludzie, którzyby rzecz wzięli do serca. Po naszych uwagach w sprawie czystości języka pojawienie się takiego przekładu jak przekład dzieła *Reklama* zapisujemy jako pomyślny objaw ciągłej pracy na tem polu przedsięwziętej i przeprowadzanej wytrwale.

Metodą stosowaną przez tłumacza książki *Reklama* — t. j. metodą podawania w nawiasach wyrazów łacińskich obok nieurtartych jeszcze nowotworów — posłużył się sam Sienkiewicz dwa dni później (*G. Pol.*, nr. 279), podając taką wiadomość:

—§— **Głosopis (fonograf).** Przybył do Warszawy niejaki p. Harwan Amerykanin z zamiarem pokazywania głosopisu Edisona, układu zegarowego. Być może, że nowe to narzędzie lepiej będzie spełniało czynność powtarzania głosu niż te wszystkie, które widzieliśmy poprzednio, a których wymowa wiele pozostawiała do życzenia.

Zatem spolszczanie wyrazów obcych dokonywa się pośpiesznie. Fonograf został nazwany „głosopisem”, co brzmi niegorzej od „rysopisu”, a z pewnością lepiej od utartego już dzisiaj „czystopisu”. Co więcej, „instrument” otrzymał tu dawną i słuszną nazwę „narzędzia”; dziśbyśmy raczej mówili tu o „przyrządzie”.

A nazajutrz Sienkiewicz znów (w n-rze 280) zabiera głos „W sprawie czystości języka”, zamieszczając wezwanie do współudziału w tworzeniu słownika handlowo-przemysłowego „celem oczyszczania tej gałęzi językowej z licznych naleciałości obcych i zaopatrzenia jej w nazwy rodzime”. Na drugi dzień pojawia się drobna poprawka do tego wezwania, błaha właściwie, mająca na celu tylko przypomnienie owej sprawy. W następnym numerze „Gazety” (282, dn. 17.XII) Sienkiewicz nie przestaje na wezwaniach, ale daje i praktyczne rady w sprawie zamierzonego słownika.

—§— **Spór o słownik.** Kto powinien zabrać się do pracy nad słownikiem ekonomiczno-handlowym, na który ogłosiła konkurs „Gazeta Handlowa” — i jak brać się do tego należy?

Pytanie to żywo było roztrząsane w pewnym towarzystwie finansistów. Jedni twierdzili, że pracą powinno się zająć ciało zbiorowe, t. j. komitet, — inni, że pojedyncza osoba.

Według stronników pierwszej myśli komitet powinien składać się z kupców, bankierów, ekonomistów i filologów, obradować zaś codziennie lub kilka razy na tydzień w umówionych godzinach.

Ponieważ skutkiem sporów wynikłych zwrócono się do nas o zdanie, przeto zabieramy głos w tej sprawie. Wyznajemy, że nie umiemy sobie zdać dokładnie sprawy ze sposobu, w jaki owo ciało zbiorowe wzięłoby się do rzeczy i w jaki prowadziłoby pracę.

Wyobraźmy sobie takie posiedzenie. Prezes zabiera głos i mówi: „Panie, pocznijmy od litery A. Według układu alfabetycznego pierwsze miejsce powinien zabierać wyraz, w którym po A następuje drugie *a* albo *b*. Kto tedy ma taki wyraz, niech prosi o głos”. I tak za każdym razem. Doprawdy byłby to sposób nie prowadzący do niczego. Użyłoby też zapewne innego środka. Oto wzięłoby pierwszy lepszy słownik niemiecki i staranoby się przepolszczać kolejno wyrazy; przyczem kupcy wyjaśnialiby znaczenie *terminów*, a filolodzy przekładaliby je na polski.

Policzymy, ile czasu zajęłyby rozprawy, spory, odczytywanie dzieł pomocniczych, wyszukiwanie u źródeł nazw istniejących, niestawianie się członków na posiedzenia etc., możemy śmiało powiedzieć, że i ten drugi środek jest zbyt długi, niepraktyczny, wyłączający badanie głębsze przedmiotu, a nakoniec i sam konkurs.

Gdzie bowiem zasiada komitet, tam konkurs z natury rzeczy jest niemożliwy.

Nakoniec członkowie komitetu musieliby obradować albo darmo, czyli uważać czas poświęcony za łaskę i ofiarę, albo pobierać za posiedzenia opłatę, coby ten sposób tworzenia słownika uczyniło najdroższym ze wszystkich.

Naszem zdaniem słownika dokonać może praca jednej lub kilku osób przede wszystkim obznajmionych dokładnie z językiem polskim, zatem filologów. Mówią, że finansista potrzebnym jest koniecznie do objaśnienia terminów handlowych. Ależ pracujący znajdzie te objaśnienia w pierwszym lepszym słowniku niemieckim lub francuskim, a dalej do dokonania podobnego dzieła potrzeba nie posiedzeń i popisywania się na nich z wymową, tylko pracy w bibliotece, opartej na poszukiwaniach i porównywaniach, na szperaniu w słownikach, słowem potrzeba *studjów*, któremi żaden komitet zajmować się nie może.

Przytem pojedynczy taki człowiek będzie wiedział, dlaczego się zajmuje, będzie wiedział, że dokonawszy pracy sumiennej, otrzyma odpowiednią nagrodę.

Komitet złożony z fachowców jest potrzebny, ale dopiero do oceny gotowych prac, nigdy „do komponowania” słownika.

Ale tu następuje się znowu pewna trudność.

Oto może się zdarzyć, że w słowniku pana X będzie tysiąc wyrazów dobrych, w słowniku pana Y pięćset innych, a w słowniku Z dwieście jeszcze innych. — Jaka na to rada?

Rada jest. Najwyższą nagrodę powinien dostać autor dzieła bezwzględnie najlepszego, ale suma powinna wystarczyć na wynagrodzenie, czyli zakupno, i tych dzieł innych, które zawierać będą cenny materiał w stosunkowo największej ilości.

Z takich dopiero materiałów komitet może złożyć jeden słownik, któryby łączył w sobie zalety wszystkich pojedynczo nadesłanych, — albo polecić auto-

rowi otrzymującemu główną nagrodę powprowadzać te poprawki, które za właściwe zostaną uznane.

Cały artykuł kończy się radą, by finansisci „zamiast spierać się, kto i jak ma słownik układać, postarali się przede wszystkim o powiększenie sumy konkursowej”. Nie są mi znane dalsze losy owego słownika, nie dotarłem do źródeł, któreby wyjaśniły, czy i o ile Sienkiewicz brał udział w pracach owego komitetu. Ponieważ jednak zainteresowanie polskim słownictwem fachowem pozostało w nim i później (o czym świadczą np. notatki dotyczące słownika budownictwa, opracowanego przez Żebrowskiego), więc mam prawo przypuszczać, że i sprawa rodzimego słownika handlowo-ekonomicznego leżała mu nadal na sercu. Gdy znajdę nowe materiały, nie omieszkam podzielić się wiadomością z czytelnikami „Poradnika”, którym zarówno sprawa czystości języka, jak i sprawa słowników specjalnych — rzemieślniczych i innych — była zawsze bliska.

Józef Birkenmajer.

ROZTRZĄSANIA.

W moich ręku. Pan S. W., któremu w odpowiedzi swej Nr. 19 („Por. Jęz.”, 1933, str. 19) zaleciłem tę formę, powołuje mię teraz — bardzo słusznie — na tle artykułu p. Jana Wepięcia (Jęz. Pol. — roczn. XIX, str. 71) do wyjaśnień. Służę niemi.

Za prędko, za prędko p. J. Wepięć złożył tę formę językową na cmentarzu pamiętek! Według niego wahanie co do tego, „czy *w ręku* jest pojedyncze czy mnogie”, skończyło się już w połowie XIX wieku; od tego rzekomo czasu już się nikt nie waha: ma to być tylko „pojedyncze”. Dziwne jednak, że Słownik Warsz. (tom z 1912 r.) 7-my przypadek *l i c z b y m n o g i e j* od *ręka* podaje *w ręku albo w rękach*, że powiedzenie *w trzecim ręku* tłumaczy przez jaśniejsze widać *w trzecich ręku*, jakoteż *w jednym ręku* przez *w jednej ręce*. Nikt chyba zapomnianych trupów nie wywleka z grobów, by za zrozumialsze je uważać po latach sześćdziesięciu i przez nie tłumaczyć żywotne rzekomo formy nowsze. Nie, — stanowczo za wcześniej zabawił się p. Wepięć w grabarza. Zgodzę się, że rzadsze są dzisiaj o wiele właściwsze formy „w twoich ręku”, „w trzecich ręku” od wynaturzonych „w twojem, w trzecim ręku”, ale to jeszcze nie powód, by tamte grzebać bezapelacyjnie. Nie jest prawdą, że „w moich ręku” to już trup. Nie mam rękojmi, że poszukiwania p. Wepięcia były dość skrupulatne, skoro w całej literaturze znalazł aż raz jeden formę „w ręku w znaczeniu mnogim” — i to zaraz pośpieszył się ją wyeliminować, jako według niego — świadome zarchaizowanie, — czyli nie znalazł nigdzie nic. Ja byłem szczęśliwszy, bo znalazłem takie formy w literaturze nowszej

np. u Z. L. Zaleskiego, a prócz tego, nie daleko szukając — w swoich własnych książkach, co naturalnie dla sz. autora mogło zostać obcem; ale obcem dla specjalisty nie powinno — tak mi się zdaje — być to, co o tej sprawie pisał ktoś w piśmie językowym, w danym razie ja w zacytowanym na początku miejscu Poradnika Językowego. Tę autorowi dowieść powinno, że formy te jednak żyją jeszcze, a źródło informacji gorszeby może nie było od „5-ciu osób z różnych okolic powiatu pińczowskiego”...

A teraz parę słów co do istoty rzeczy. Forma *w ręku* jest to „dual”, jak to określa p. Wepsięć; „dual” ten odnosił się zrazu i do przydawek, mieliśmy *w twoju ręku*; gdy się zaczął stopniowo cofać, przydawka przeszła oczywiście w liczbę mnogą: *w twoich rękach*; przyjdzie zapewne czas, gdzie i *ręku* się cofnie, będziemy mieli *w twoich rękach*; ale dopóki żyje *w ręku*, dopóty przydawka p o w i n n a zachować liczbę mnogą. Jeżeli z biegiem czasu zaczęto używać liczby pojedynczej, to zapewne dla tego samego, dla czego i dzisiaj służące mówią *mojego państwa, o państwie Ostrowskiem*, boć tu to też „dual” (Por. Jęz., 1934, str. 38). Dla nas jednak *państwo* będą tylko *Ostrowscy*. Skoro przeważnie poddaliśmy się formie *w twojem ręku*, to trudno, nikt dziś formy tej zwalczając nie będzie, ale niechże nie grzebie i formy właściwej, która wbrew egzekwjom p. Wepsięcia nie umarła jeszcze. Obie postaci żyć mogą obok siebie, a już w żadnym razie nie jest rzeczą polonisty pomagać przejaskrawionymi argumentami do uśmiercania jednej, i to tej właściwej właśnie!

Inna rzecz jest z owem *w prawem ręku, w lewem ręku*, gdy idzie o jedną rękę. Sz. autor mówi tu krótko i bezapelacyjnie, że forma *w ręku* „nabrała dziś znaczenia liczby pojedynczej”. Mamy tu zupełną analogję z dzisiejszem „państwem Ostrowskiem”. Czyżby p. Wepsięć i „państwo Ostrowskie” skłonny był dziś czy jutro akceptować? Nie, — *w prawem ręku* musimy uważać za błąd językowy. Gdyby to była jedyna, przekazana nam przez przeszłość forma, trudno: musielibyśmy traktować to jak pierwotny grzech. Ale, na szczęście, tak nie jest: istnieją formy właściwe *w prawej ręce, w lewej ręce* i te należy zalecać; wynaturzone zaś koszlawce — złożyć w grób; cóż, kiedy p. Wepsięć i, niestety, nie on jeden, woli grzebać żyjące a koszlawe żywić... Rz.

ZAPYTANIA I ODPOWIEDZI.

101. Rzeczpospolitą czy rzeczpospolite? (C. K., Łódź)
 (Rz) *Rzeczpospolitą*, — tu przymiotnik jest zupełnie jeszcze wyraźny i odmienia się pospołu z rzeczownikiem, choć piszemy oba wyrazy łącznie.
102. „Niniejszem pozwalam sobie donieść, że...” — Toć to brzydki germanizm, — nie prawda? (E. A., Warszawa)

- (Rz) Zapewne, w listach stało się to szablonem pod wpływem niemieckich *ich erlaube mir, ich gestatte mir*; ale bynajmniej nie wypływa stąd, by było germanizmem. Ot, jedna z wielu form grzecznościowych mniej lub więcej zręcznie skleconych; rzecz dotyczy stylu.
103. „Śmiem zapewnić, że z tego tytułu przeszkód nie będzie”; czy śmiem jest tu właściwe? (S. N., Warszawa)
- (Rz) Drażliwość tego samego rodzaju. Takt tylko niezawsze pozwala na użycie wyrazu; powiedzenie np. *śmiem pana zapytać o godzinę* — byłoby przesadą. Pozatem takie *śmiem* wyraża często ironję: można nie tam trafić, gdzie się celuje.
104. „Ujrzeliśmy światło i wyczerzyli wszystkie siły” — czy to możliwy skrót? (104/107, Z. S., Pokucie)
- (Rz) W liczbie mnogiej, w szybkiej rozmowie, słyszy się nieraz podobne skróty, np. *zgraliście się i wynieśli*. Klasyczne one nie są, ale zupełnie możliwe.
105. „Oddalili się z talerzem, a tamci zbliżyli do stołu” — tu się chyba konieczne?
- (Rz) Tak. Pierwszym warunkiem takich skrótów jest ich jasność; a tu nawet podmioty są różne. Dobre a nawet potrzebne są skróty: *staralem się przekonać, czy jesteście*, — *spodziewalem się nie spóźnić* i t. d.
106. „Młodzieniec starał się uniknąć lub odparować ciosy maczugą, — czy to dobrze powiedziane?
- (Rz) Źle, — bo oba użyte czasowniki inny mają rząd; należy powiedzieć: *staral się unikać ciosów lub je parować*. Postać niedokonana słowa jest właściwsza, bo wielokrotność jest tu niejako podkreślona.
107. „Był to jedyny kolega, z którym się radziłem”, — przecie którego się radziłem?
- (Rz) *Radziłem się* zastępuje tu oczywiście formę *naradzałem się*, przejmuje więc jej rząd; zdanie jest zupełnie poprawne.
108. „Pan X. wykonywał powierzone sobie prace sumiennie”, — czy też: powierzone mu prace? (W. Ch., Warszawa)
- (Rz) Imiesłów *powierzone* jest tutaj skrótem zdania podrzędnego *które mu powierzono*; podmiotem logicznym nie jest tedy p. X., tylko jego pracodawca; właściwsze więc tu będzie *mu*. Co innego w zdaniu *p. X. dotrzymał danego sobie słowa*, bo jest on tu i gramatycznym i logicznym podmiotem (zob. *Por. Jęz.* 33, str. 161).
109. „Do ślubu nosiła suknię”; „ubrał kapelusz i wyszedł”. „Poradnik” powinien protestować przeciw takim drażniącym naleciałościom. (Z. Wiecz., Warszawa)

- (Rz) Protestować? Na tem miejscu radzimy tylko pytającym. Zresztą, co tu protesty pomogą? Jednych te rzeczy nic a nic nie obchodzą, drudzy, nawykłszy do pewnych form, do kanonu je radzi podnoszą. *Nosi się* ubranie, gdy się w nie stale ubiera, gdy się w niem chodzi; *ma się* ubranie *na sobie*, gdy mówimy o danym momencie; *panna młoda* więc albo *miała na sobie białą suknię*, albo *była w białej sukni*. *Nosiła* — to błędna kopja niemieckiego używanego w takich razach *imperfectum (trug)*. *Ubrać kapelusz, surdut* — to do znudzenia już przewalkowany regionalizm; cóż, kiedy zwrot się w byłych niemieckich zaborach zakorzenił i rozstać się z nim nie chcą. Idzie o to, że niemieckie *anziehen* jest czasownikiem przechodnym; wnet więc upodobniono do niego konstrukcję polskiego czasownika. W b. Królestwie *ubiera się kapelusze* tylko w magazynach mód wstążkami, kwiatami lub ptaszkami.
110. Oburzony jestem, że niema niemal pisma w Polsce, któreby nie pisało *bracia Adamowicze*; a przecież gramatyka każe odmieniać *Adamowiczowie*. (A. K., Warszawa)
- (Rz) Czy jednak potrzebnie Pan się aż oburza? Naturalnie, jeśli Pan powie *Adamowiczowie*, źle to nie będzie, ale tak samo źle nie jest i *Adamowicze*. Tak zwane *patronimica: ojczyce, dziedzice, wojewodzice, starościce, królewicze*, wskazują, że końcówka *e* jest tu zupełnie naturalna; *Piastowicze, Boleszczyce*, — zindywidualizowane już *patronimica* — nikt się nie zawaha powiedzieć; *Daniłowicze, Tyszkiewicz* czytamy na każdej stronie historii; a czemu *Adamowicze* się różnią? Słowem, nie podzielam Pańskiej obawy, aby formy *bracia Adamowicze, lotnicy Adamowicze* miały być błędne; w zestawieniu z przydawką *panowie* może trochę to razi, bo tu narzuca się mimowolnie upodobnienie końcówek, — tubym prędzej powiedział *panowie Adamowiczowie*. Oczywiście, gdzie idzie o stado małżeńskie, tam forma na *-owie* jest już zdecydowana.
111. Składniowym dysonansem nazywa p. Breza w „Kurjerze Porannym” zwroty „mimo swoją oszczędność”, „mimo opór ojca”, — czy słusznie? (111/112, L. K., Warszawa)
- (Rz) Niesłusznie. Dość spojrzeć do Lindego albo do Słownika Warszawskiego, aby się o tem przekonać.
112. W tem samym piśmie zanotowałem w ostatnich tygodniach następujące formy i zwroty: a) *Poznańczanin*, b) *spowodów niezależnych*, c) *oblężyli miasto*, d) *odbywam podróże wefte i wefte*, e) *samoloty wiatraczane*, f) *łakomie zesysywał literki*, g) *śpiwory*, h) *Modrzejewska królewściała na scenie*, i) *okropieństwa wojny*, j) *jedzie się koleją z centra Londynu*, k) *słonie, tygrysy w tysiące, w masy*, l) *po obiedzie zlikwidowali*

swoją obecność, m) gracze ćwiczyli trochę z piłką, trochę biegi. Co „Poradnik” powie o tych wynalazkach?

(Rz) Smutne refleksje... a) *Poznańczanin* — to tak zwane sadzenie się na wzniosłość; w każdym razie byłoby raczej *poznańszczenie*; mówimy powszechnie *poznaniacy*; b) — niezrozumienie propozycji Akademii; c) stara forma językowa, ale tu napewno tak daleko nie sięgano: ot, wprost od *oblężenie* zdawkowo coś chlapnięto; d) słyszałem to kiedyś u służącej, znaczy *w tę i w ową stronę*; w zwykłym stylu nieodpowiednie, a owo *f* trochę groteskowe; e) przymiotnik mniej udatny; mamy *wiatrakowy* i *wiatraczny*; f) jeżeli chciano podkreślić, że *zsysanie* wielokrotnie się powtarzało, to tak; ale ponieważ *z literkami* czynność taka, wątpię, czy była powtarzana, więc wystarczyć powinno: *zsysał*; g) nieumiejętnie sklecony nowotwór, bo w zasadzie w takich wyrazach człon odróżniający pochodzić powinien od czasownika przechodnego; niestety, u sportowców wyraz się już uciera; h) niechlujstwo autora! — więc może powie, że *gwiazdka błyszczała, a ptaszek piścił?* — *królewszczęć* nienotowany ale możliwy wyraz; i) wyraz żartobliwy, — tu, gdzie się mówi o wojnie, co najmniej niewłaściwy; j) chyba omyłka druku; użycie swojskiego *środek* zapobiegłoby złemu; k) *idzie w tysiące* — znany barbaryzm; ale *idzie w masy* jeszcze gorsze, bo zgoła dwuznaczne; l) jeżeli szło autorowi czy autorce o przykład, do jakich nonsensów doprowadza powszechnie grasujące dzisiaj *likwidowanie*, to przyklasnąć im należy; m) tu już pióro się rumieni; to nie mowa, to bełkot, a przecież płacą za to czytelnicy...

113. W niedawno ogłoszonej przez Polskie Radio ankiecie z kilku możliwych kombinacji stylistycznych słuchacze — o ile dobrze dosłyszałam — opowiedzieli się za dwiema formami: *moich dwoje dzieci było chore i moje dwoje dzieci były chore*. Jakże to? więc miałabym prawo powiedzieć *moje dwoje szczenięta były ślepe?* (D. B., Warszawa)

(Rz) Jest tu nieporozumienie ze strony Pani: wyraźnie p. prof. Słowski mówił o *dzieciach*, nie zaś o dowolnych rzeczownikach nijakich czy też różnopłciowych. Stąd właśnie i cała plątanina pochodzi, bo *dzieci* mają jednakowy mianownik i dopełniacz; to uwodzi mówiących: zdaje im się narazie, że *dzieci* są w tem zdaniu mianownikiem i do niego dostosowują orzeczenie *były*; tymczasem *dzieci* są tu dopełnieniem do podmiotu *dwoje* i z tym podmiotem powinno się wiązać orzeczenie (*było*). Drugie więc z przytoczonych zdań, oczywiście, do *szczeniąt* się nie stosuje.

114. Odbył się proces handlarzy narkotykami, czytam w dzienniku. Przypuszczam, że powinno być handlarzy narkotyków, — czy tak?

(S. W., Warszawa)

(Rz) Tak. Tylko odsłowne rzeczowniki zatrzymują rząd macierzystych swych

czasowników (nieprzechodnych); odsłowne albo takie, które je zastępują; dalsze związane z niemi rzeczowniki — już nie. A więc: *handlować żelazem* — *handlowanie* (= *handel*) *żelazem* — *handlarz żelaza*; *tańczyć z panną* — *tańczenie* (= *taniec*) *z panną* — *tancerz panny*; *pomagać komu* — *pomaganie* (= *pomoc*) *komu* — *pomocnik kogo*.

115. Jak oni śpią w tyłoro — pisze pewna sprawozdawczyni sportowa. Co o tem myśleć? (115/116, J. S., Płock)

(Rz) Byłoby to potknięcie się o formę *kilkoro*, gdyby to nie była — dziennikarka. A może ta pani ma ambicje twórcze? — sądzę, że nikogo nie pociągnie.

116. Jak ostatecznie ustosunkować się do tego Challenge'u? Była jakaś ankieta, zaczęliśmy mówić o turnieju lotniczym i wszystko gdzieś utonęło: używamy dalej tego barbaryzmu, przytem rozmaicie kalecząc wymowę.

(Rz) Niestety, inicjatorzy spolszczenia źle się wzięli do sprawy; należało rozpocząć rozmowy od kierownictwa turnieju; gdyby ono dało się było przekonać, mielibyśmy już niezawodnie termin polski. Gdy jednak puszczone proponowaną nazwę na los szczęścia na fale, nic dziwnego, że sprawa została przegrana; przyczynili się do tego i... konkurenci od ankiet. Dziś po tak dobitnem spopularyzowaniu nazwy choćby przez samych świętych zwycięzców, nawrót jest beznadziejny; język musi się z tem liczyć, zwłaszcza, że *turniej lotniczy* jest raczej mianem gatunkowem; tu nie idzie o turniej lotniczy *wogóle*, tylko o turniej lotniczy *ten*. W tym stanie rzeczy, sądzę — ale to jest zdanie moje osobiste — że z Challenge'em będziemy się musieli pogodzić, widząc w nim *nazwę*. Pozostałaby tylko kwestja, jak czytać i jak pisać? Czytać, oczywiście, nie po francusku, — bo w tem to już pośrednictwa chyba nie potrzebujemy — tylko po angielsku: *Czelendź*; a pisać? — a no, tak, jak właśnie napisałem. Wiele się robi tak lub owak, gdy inaczej zrobić nie można.

POKŁOSIE.

Z motyką na słońce.

Pewnikiem jest powiedzenie, iż nie należy brać się do rzeczy, których robić się nie umie. Niestety, w życiu praktycznem aż zbyt często spotykamy się z bezceremonjalnem gwałceniem tej zasady.

Mam przed sobą przekład I części trylogji Johna Galsworthy'ego *Nowoczesna Komedja*, zatytułowanej *Biała Małpa*. Tłumaczenia dokonała p. Zofja Lasocka (Rój, 1931 r.).

Tłumaczka tak kaleczy język polski, że o odczuciu przez czytelnika właściwej wartości wielkiego dzieła mistrza tej miary, co Galsworthy, nie

może być mowy. Dzieło sztuki przedstawia nam tłumaczka w karykaturalnym zwierciadle nędznego przekładu, za co możemy i powinniśmy mieć do niej żal i urazę.

Oto przykład stylowego niedołęstwa:

Ktoś marzy:

„tylko nie p o c h o r o w a ć się w salonie, starać się opanować i stać prosto, choćby nikt tego nie widział, że się miało jednak pewną wartość”. (str. 192).

Jakże dziwi tu wyrażenie „pochorować”, a przytem w całym zdaniu trudno dociec sensu!

Albo refleksja:

„To bardzo miłe uczucie, jak dzisiejszego ranka: nie c i e r p i e ć k ł o p o t u” str. 308 (mowa tu o systemie Clouégo, który nakazuje nie dopuszczać myśli o kłopotach).

Lub westchnienie:

„Gdyby tylko nie potrzeba się dręczyć!” str. 309. Albo przeczytajmy umieszczone na str. 153 wyrażenie następujące, a, co ważniejsze, starajmy się je zrozumieć:

„Fleur towarzyszyła mu przy o s t a t n i e m p ę d z e n i u d r u g i e g o d n i a, trzymając Tinga-linga (psa) na smyczy”. Świetne jest to towarzyszenie przy „pędzeniu” dnia przez trzymanie psa na smyczy.

Zupełnie zaś śmieszny jest rzut oka na „ławę mniśią z piętnastego wieku o d r e s t a u r o w a n ą jedwabiem i puchowemi poduszkami dwudziestego” str. 43. Śliczne restaurowanie drewnianej czy kamiennej ławy przez pokrywanie jej jedwabiem i zarzucaniem puchowemi poduszkami!

A teraz przyjrzyjmy się (z podziwem) takim wyrażeniom, jak:

„Byli w ł a d n e m p i w i e” 285 lub „j e s t e ś m y w p i w i e” 288, (co ma znaczyć: „nawarzyliśmy sobie piwa”).

„Co kosztuje jazda t a m d o t ą d?” 75.

„Toby było nie w n o s innym członkom Rady” 203.

„Bebuś” str. 356 (bobuś).

Albo to zdanie, którego nawet w dłuższym tekście zrozumieć niepodobna: „I rzeczywiście, spotkanie to nie było bynajmniej p o d p a d a j ą c e m” 44.

Tłumaczka lubi przytem wtrącać w tekst, nie wymagający żadnych ubarwień stylowych, bo w sądy, podawane przez samego autora (a nie bohaterów powieści, którzy mogliby mieć różne osobliwości stylowe) wyrażenia, używane jedynie w języku mówionym, niedbale-poufałym. A więc:

„w tym h a r m i d r z e nie powinna zostać sama” 322 lub „temi słowy

przyznał się do swej instynktownej niechęci do wszelkich tytułów i tym podobnych *d y r d y m a ł e k*" str. 116.

A już zupełnie niedopuszczalne są takie błędy gramatyczne, na które w przekładzie tym natykamy się co parę stron, jak:

„Michał starał sobie przypomnieć” (bez się) str. 77.

„N a ile mógł sądzić” 119.

„Jesteś n a t y l e bardziej nowoczesna niż moderniści, n a i l e od nich bardziej staroświecka” (!?) str. 18.

„Będzie s i ę dalej biedował” 189.

„Nie dlatego... lecz ponieważ” — przeciwstawienie używane w wielu miejscach.

I t. d., i t. d.

Trudno jest wymieniać wszystkie językowe dziwactwa, usterki i wręcz kalectwa tego przekładu. I tych, które tu są przytoczone, wystarczy, by wykazać, że przekład ten nie stoi na wysokości zadania. Autorka doprawdy nie powinna była ze swą kiepską motyką porywać się na słońce takiego talentu, jak Galsworthy.

Trzeba mieć nadzieję, że konsekwentnie tępiąc tego rodzaju objawy wreszcie oniemiaeli się trochę amatorów zbyt lekkiego „tłumaczeniowego” chleba.

jr.

CO PISZĄ O JĘZYKU?

Silny głos budzi szerokie echa. Tak też stało się z dwoma artykułami ostatnich tygodni, o których tu przedewszystkiem musimy wspomnieć.

Pod jaskrawym nagłówkiem: „Spolszczyć prasę galicyjską” (34 nr. „Myśli Narodowej”) p. Jędrzej Giertych napisał dobrze ujęty, rzeczowy w większości argumentów artykuł.

Autor szuka historycznych przyczyn większego niż gdzie indziej zepsucia języka w b. zaborze austriackim.

A więc — znaczna część b. Galicji odpadła od Polski wcześniej, bo już przy pierwszym rozbiórze, dalej — dzielnica ta nie brała udziału w żywym ruchu kulturalnym doby stanisławowskiej, nie przeżyła okresu, analogicznego do początkowego rozkwitu Królestwa Polskiego i Księstwa Poznańskiego — przeciwnie, aż do 1866 roku podlegała silnym wpływom germanizacyjnym.

Tworzenie, w późniejszym okresie, urzędowego języka polskiego odbywało się z pominięciem tradycji rodzimej, żywej do niedawna za kordonem. Język ów wzorował się na niemczyźnie, a tworzyli go przeważnie urzędnicy czeskiego lub niemieckiego pochodzenia.

Do tych w zasadzie znanych przyczyn autor dodaje od siebie wpływ żydowskiej inteligencji, najliczniejszej w b. Galicji.

Oczywiście, następuje lista mniej lub więcej drażniących błędów językowych. Uprzedzając niejako strzały przeciwników, autor nie bez słuszności zaznacza, że podczas gdy w innych dzielnicach kraju miejscowe błędy słychać najczęściej w ustach warstw mniej oświeconych, na ziemiach dawnej Galicji językiem zepsutym posługuje się znaczna część inteligencji. P. Giertych uważa prasę za czynnik, który w szczególny sposób może się przyczynić do usunięcia złego.

Dziennikarze zaś muszą sami czuwać nad swym językiem.

Na ten artykuł odpowiedział prof. Władysław Tarnawski (37 nr. „Myśli Narodowej”), poruszając zagadnienia ogólniejsze, dotyczące rozwoju języka i jego bogactwa. W porównaniu z poprzednim — artykuł prof. Tarnawskiego odznacza się tonem łagodnym, jednak znalazło się w nim zdanie, że „właśnie Warszawa jest siedzibą tej tyranji językowej, która chciałaby wszystkim narzucić swój szablon”.

Trudno to pogodzić ze „Skargą laika” („Kurjer Warszawski” z 28.VIII) żalącego się nad skłonnością prasy stołecznej do przejmowania cudzych błędów. Istotnie, niezawsze można już dziś mówić o siedlisku tego czy innego błędu. Zachodzi tu wzajemna wymiana między dawnymi dzielnicami.

Z historii dobrze znana jest nasza chłonność kulturalna w stosunku do obczyzny. Rzecz jasna i znana — to ogólne zjawisko uwidoczniło się silnie także i w języku; uwidocznia się też i dzisiaj, bo wzory jednej dzielnicy są dla drugiej niby obczyzna.

Drugim zasługującym na baczniejszą uwagę artykułem jest mocne wystąpienie Boya-Żeleńskiego przeciw napuszonoci i fałszywej poetyczności języka („Wiadomości Literackie” z 19.VIII — „Styl kwiecisty”). Posługując się dosadnie malującymi rzecz przykładami, autor wyśmiewa zakorzenione u nas upodobanie do przenośni, wyradzającej się pod lichem piórem w twór pokracznie pocieszny, a zawałający drogę jasności, prostocie i dobremu smakowi. O stan ten Boy oskarża przewagę poezji w dziejowym rozwoju naszej literatury i — związany z tem zresztą — wpływ szkoły, przynajmniej dawniejszej.

Używając metafory — radzi autor — starajmy się ujrzyć ją obrazowo i dokładnie, a ustrzeżemy się napuszonoci i śmieszności, któremi nierzadko grzeszą nawet artykuły ekonomiczne.

Jednym z poważniejszych głosów, które się odezwały po wystąpieniu Boya, jest artykuł Wacława Kubackiego: „Choćbym pisał piórem pawiem” („Pion” z d. 1.IX). Szukając źródeł zła poza samą literaturą, p. Kubacki wskazuje na wpływ barokowej architektury, panującej przeważnie zwłaszcza w budownictwie kościelnym, oraz ambony, „naturalnej katedry krasomówstwa”.

Dalej mamy zastrzeżenia przeciw żartobliwemu pomysłowi rysowania metafor. Zgadza się z p. Kubackim, że może to doprowadzić do absurdu. „Metafora jest sprzęganiem pojęć bardzo odległych, przeskakiwaniem przepaści bardzo głębokich”... i, dodajmy, chwytą zazwyczaj jakąś jedną cechę podobieństwa. Tak samo i poszczególne wyrazy ogarniają najczęściej jedną tylko z właściwości zjawiska czy przedmiotu. Wyraz *ogród* z pośród wielu cech, związanych z oznaczonym przezeń pojęciem, określa jedynie właściwości *miejsca ogrodzonego*; podobnie przenośnia: oczy jak bławki — mówi wyłącznie o podobieństwie barwy.

Uwagi Boya-Zeleńskiego, jak również artykuł p. Giertycha, zostały w ustępach przedrukowane przez kilka dzienników („Gazeta Warszawska”, „Express Poranny”, „Kurjer Wileński”, „Kurjer Lwowski” z tygodników — „Tygodnik Ilustrowany”) z dodaniem niezawsze trafnych wyjaśnień i przyczynków.

Osobno stoi artykuł p. L. C. o „Gwarze polsko-amerykańskiej”. Autor jest zdania, że barbarzyńcy, pstrzące mowę naszych wychodźców, rodzą się częściowo na tle swoistego snobizmu, zachwaszczającego obczyzną również język „snobów krajowych”. Czemuż z tem wszystkim sam p. L. C. ubarwia kilkadziesiąt wierszy swej wzmianki słówkami: *kamuflaż*, *standart* życiowy i t. p.?

Wreszcie zasługuje na wspomnienie, ale — niestety — z ujemnej strony, trącający pieniactwem i, co gorsza, nieznamomością rzeczy, spór pana W.-P. o niewinne zaimki *ktobądź*, *cobądź*, które autor uparcie zalicza do rusycyzmów.

Niech dobry los chroni poprawność języka od podobnych wystąpień!

A. S.

Pan Franciszek Brzeziński w „A. B. C.” z d. 19 sierpnia rzuca myśl, wypróbowaną już przez niego, jak pisze, w jednym z biur, aby sporządzać krótkie spisy najpospolitszych błędów językowych, nie więcej, jak po 10 naraz, i umieszczać je w redakcjach pism na miejscach widocznych, do użytku piszących. Powinno to złemu zaradzić. Nie od rzeczy będzie może wspomnieć, że Towarzystwo nasze przed dwoma laty w zupełnie identyczny sposób przystąpiło do takiej akcji i dziesięciowyrazowe spisy częściowo już opracowało. Uważaliśmy jednak, że rzecz przeprowadzić trzeba w bliskim kontakcie ze światem dziennikarskim. W zasadzie spotkaliśmy się u osób, które pragnęliśmy tem zainteresować, z najlepszą wolą, ale w wykonaniu rzecz, niestety, — nie ruszyła z miejsca. Projekt wciąż jest jeszcze projektem, ale w letargu. Zmroziła nas wreszcie opinia wybitnego znawcy stosunków dziennikarskich, streszczająca się mniejwięcej tak: naiwne posunięcia, nic tem nie zrobicie! — świat dziennikar-

ski ma swoje, bliższe kłopoty... Radził, by lepiej „tylnymi schody” dostać się do przybytku: ze składaczami w drukarniach rozpocząć rozmowy; ale i do takiego planu zabrakło nam wykonawców; rzecz legła odłogiem. Jeżeli p. Brzeziński wierzy w powodzenie, z całą gotowością deklarujemy się z współpracą, zwłaszcza, że takie spisy powinny się opierać na pracy zbiorowej, pracy zrzeszenia; inaczej, natworzy się zaraz moc znawców, co to... *śniadanie* etymologicznie ze *snem* wiążą, i wezmą się do pisania tabliczek: sprawa będzie zdyskredytowana, tak, jak dyskredytuje się ją nieraz w niektórych „kącikach językowych” niepowołanej ręki. (zob. *Por. Jęz.* 1932, str. 128). Czy wspomniany powyżej znawca-pesymista nie patrzy zbyt czarno na rzecz, nie chcemy przesądzać; nas paroletnie stosunki doraźne z redakcjami pism „na odcinku” poprawności mowy różowo nie usposobiły.

Red.

KRONIKA.

Uzupełniamy informację z ostatniego zeszytu *Poradnika* (1934, str. 128) dotyczącą wyborów na Walnem Zebraniu naszego Towarzystwa: do Komisji Rewizyjnej wybrane zostały następujące osoby: p. Wacław Jurczyk, p. Halina Koneczna, p. Aleksander Tyszkiewicz.

Formalności urzędowe, związane ze zmianą nazwy naszego Towarzystwa, uchwaloną na grudniowym Walnem Zebraniu, zostały przeprowadzone. Oficjalnie już więc nazwa ta brzmi: *Towarzystwo Krzewienia Poprawności i Kultury Języka*.

Przykry cios dotknął miłośników języka pracujących na polu technicznego imiennictwa polskiego: w dniu 21.IX zmarł ś. p. inż. Kazimierz Zajdler, tak wybitny działacz w dziale słownictwa teletechnicznego. Cześć Jego pamięci!

UCZCZENIE PAMIĘCI PROF. A. A. KRYŃSKIEGO.

Na wydanie tomu *Prac Filologicznych* wpłynęło od prof. Stanisława Jurka zł. 2.50; razem z poprzednimi 1615 zł. 85 gr.

Rubrykę tę przypominamy Czytelnikom dobrej woli.

OD ADMINISTRACJI.

W redakcji i administracji są do nabycia spisy błędnych i mniej właściwych zwrotów języka, używanego w biurach i urzędach: Spis Nr. 1 (w drugim wydaniu) i Spis Nr. 2, — zeszyt po gr. 40 (z przesyłką 50 gr.). Należność prosimy przysyłać w znaczkach pocztowych przy zamówieniu.

Pozostałe egzemplarze pracy ś. p. Red. Romana Zawilińskiego p. t. „Dobór wyrazów” zostały powierzone do sprzedaży „Naszej Księgarni”, Warszawa, S-tokrzyska 18. Pierwotną cenę zł. 30.— zniżono obecnie do zł. 10.—.

Administracja posiada dawne roczniki „Poradnika”: 1903, 1904, 1907, 1909, 1923, 1925, 1926, 1929, 1930, 1931, 1932 i 1933; odstępuje je po cenach następujących: roczniki do roku 1909 włącznie po 1 zł., 1923 — 0,50 zł., 1925, 26, 29, 30, 31 — po 2 zł., 1932 — 5 zł., 1933 — 8 zł. Za komplet 10 roczników (1903-31) — 12 zł., przy pojedynczych tomach doliczamy koszty pocztowe, przy większej liczbie nie. Luźnemi zeszytami w ograniczonej liczbie służyjemy po 30 gr. za zeszyt; rok 1932 (dla prenumeratorów) — po 50 gr., lata 1933 i 1934 — po 80 gr.

Reklamacje co do nieotrzymania zeszytów prosimy przysyłać najpóźniej z nadejściem następnego zeszytu. Przy reklamowaniu po upływie całych miesięcy żadne sprawdzenie nie jest możliwe i dlatego takie zeszyty będziemy obliczać osobno.

Na zapytania dotyczące poprawności języka naogół odpowiadamy w najbliższym zeszycie; na żądanie — listownie za nadesłaniem znaczka pocztowego. Wszyscy zapytujący zechcą podawać swoje adresy, nie każde bowiem zapytanie nadaje się do roztrząsania w druku, bo nie każde zaciekawia ogół czytelników, — zresztą i powtarzać się nie możemy. Bez adresu tedy zapytanie takie musi pozostać bez odpowiedzi. Zapytania podpisywać można inicjałami.

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania do nadsyłanych artykułów nieistotnych zmian i skrótów bez odwoływania się do autorów.

Godziny redakcyjne 4 — 6 po poł.; za uprzednim porozumieniem — w każdym czasie.

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

**WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO:
STANISŁAW MACHOWSKI**

**KOMITET REDAKCYJNY: JAN RZEWNICKI, PROF. STANISŁAW
SŁOŃSKI, PROF. STANISŁAW SZOBER**
